

Agnieszka Kowalska (domo voto Figas, primo voto Konieczna) – moja Babcia

Nie była nigdy „typową babcią” – taką przychodzącą do wnuków, kiedy rodzice mają wieczorne wyjście, czytającą wierszyki do snu, piekącą słodkie racuchy czy robiącą „najlepsze malinowe konfitury” świata, których smak jest smakiem dzieciństwa. Nie. I też po części wynikało to z tego, że moja pochodząca z Wielopolski mama „poszła za mężem” do Warszawy, zresztą na stołecznej uczelni zrobiła doktorat i pozostała tam pragnąc robić karierę naukową, natomiast Babcia Agnieszka (po której mam imię) pozostała w Ostrowie Wielkopolskim - tam, gdzie się urodziła i spędziła całe życie. Gdzie za własne, ciężko zarobione pieniądze w połowie lat 60. wybudowała swój dom! Kto nie pamięta tamtych czasów nie ma zielonego pojęcia, czym było postawienie wtedy domu przez prywatną osobę. Sprawą niezwykle trudno osiągalną, a to nie tylko ze względu na powszechny brak w społeczeństwie środków finansowych, ale dlatego, że wokół panowała „gospodarka niedoboru”. Niedoboru wszystkiego włączając oczywiście wszelkie materiały budowlane; z uwagi na planowanie, braki, przydzielanie (głównie na potrzeby przedsiębiorstw i robót państwowych), kartki, niedomiary i domiary, wolny rynek nie funkcjonował i nie można było po prostu kupić cegieł, kupić cementu, kupić betonu, kupić farb i tak dalej. Piszę, gdyby ktoś urodzony po roku – powiedzmy - 1985 jeszcze się dziwił.

Wracając do Niej z mojego dzieciństwa: nigdy nawet nie pomyślałam, że czegoś mi w życiu zabrakło lub brakowało. Żadnych babeczek, marmolady, ciasteczek czy kotlecików, których niepowtarzalny smak mogłabym teraz z rozrzewnieniem wspominać.

Babcia Agnieszka Kowalska była postacią inną, nieco odległą, a w moje życie wniosła wartości i pewien swoisty etos, z którego istnienia zdawałam sobie sprawę od dzieciństwa i od zawsze czułam, jak mocno splata się on z każdym moim myśleniem o Niej. Nie mogę więc górnolotnie powiedzieć, że w pełni pojęłam jego wagę dopiero po jej śmierci. Mogę natomiast powiedzieć, że w jakiś niewytłumaczalny sposób czuję, że Ona jest bliżej mnie teraz, właśnie teraz – kiedy jej fizycznie już nie ma, bo odeszła w 2005 roku (było to dosłownie w dniach, kiedy ja złożyłam doktorat i miałabym dla Niej więcej czasu, tego wspólnie spędzanego, jakiego zawsze brakowało..).

Z perspektywy czasu myślę, że najważniejszy jest jednak etos: silna, niezwykle przedsiębiorcza, odporna na trudne do wyobrażenia w dzisiejszych czasach trudy i troski życia kobieta. Podejmująca wysiłki, codzienny znój, jakie byłyby dla mnie fizycznie absolutnie nie do udźwignięcia, z wielkim uporem i konsekwencją, które przyniosły efekty w postaci pokaźnego finansowego sukcesu na miarę czasu samego środka PRL-owskiego systemu. Systemu, w którym dobrobyt, domy, wille i materialne zaspokojenie należały się rzecz jasna tylko towarzyszom partyjnym, których Ona szczerze nie znosiła.

Moja Babcia Agnieszka (rocznik 1924), w czasie wojny jako młoda kilkunastoletnia dziewczyna działała w Armii Krajowej (do AK została przyjęta najprawdopodobniej w 1941 roku). Otrzymała pseudonim „Warkocz”. Była łączniczką i miała zadania właściwe dla tej funkcji, z którego to powodu była dobrze znana w podziemiu podokręgu Kalisz /Ostrów Wlkp. Wiem, że między innymi zaprzężonym w konia wozem przewoziła broń dla partyzantów pozostających w okolicznych lasach – musiała być bardzo odważna, bo karabiny, sprzęt i inne zaopatrzenie schowane były najczęściej w skrzyniach pod sianem. Wiem też, że była śliczna – miała gęste kruczoczarne włosy związane w dwa warkoczki, czarne oczy i bardzo piękne kobiece kształty. I te dwa fakty spotykają się w opowiadaniu o tym, jak kiedyś przewożąc broń dla AK spotkał na polnej drodze niemiecki patrol. Przerazenie: co będzie, jak wytłumaczy się na gestapo jeśli dojdzie do przesłuchań, może tortur, w gardle suchy strach, paraliżujące zimno stresu, w głowie modlitwa, oczy i dusza widzące przed sobą najgorsze.. i gdzieś nagle w tle: pomysł! Kobięca przebiegłość i intuicja – a może by tak go „wziąć na moje

wdzięką”? A nade wszystko zimna krew mimo gorących, ściśniętych strachem myśli. No i udało się „wziąć” hitlerowskiego żołdaka na uśmiechy, płonące policzki, umizgi, kokieteryjne „strzelanie oczętami” i pewnie obietnicę nigdy oczywiście nieziszczonej randki zanim zabrał się za przeszukiwanie załadowanego po brzegi wozu.

W AK moja Babcia Agnieszka pozostała do końca wojny. Potem zresztą, po wojnie, nachodziło ją z tego powodu NKWD, trafiła na przesłuchanie do UB (historia tego przesłuchania mieści się w ramce poniżej- przyp. red). Była już wtedy młodą kobietę bez męża z dwójką dzieci mieszkającą w bardzo ubogim domu. Po wojnie moja babcia wyszła za mąż za Henryka Koniecznego. Jej małżeństwo, chociaż była bardzo w narzeczonym Henryku zakochana, „rozpadło się jak domek z kart” – co przed samym ślubem wywróżyła niedowierzającej absolutnie, bo zapatrzonej w wybranka Agnieszce jakaś lokalna wróżbiarka, która niestety i tym razem się nie pomyliła. Związek ten peten był łoż, alkoholowych ciągów męża i „eskapad z kolegami”, upokorzeń i głębokiego rozczarowania, które spowodowało, że po rozstaniu moja Babcia przez większość swojego życia pozostała sama. Z dwójką dzieci – Hanią i Wojtkiem, dla których postanowiła nie poddać się, choć zaczynała dosłownie „bez grosza”. Na szczęście w opiece nad nimi pomagała Jej matka, którą z opowiadań znam jako dobrą jak anioł „babcie Kasię”.

Sama więc przez kilkanaście godzin dziennie pracowała, by rozkręcić wymarzone ogrodnictwo – postanowiła bowiem zostać, jak dobrze pamiętamy to określenie, „badylarzem”. A za czasów PRL jak wiadomo owi badylarze byli jedną z niewielu grup zawodowych, która finansowo jak na tamte lata, tamte okoliczności, realia i społeczną „średnią” miała się całkiem nieźle. Bez patosu można powiedzieć, że Agnieszka rzuciła wyzwanie swojemu ubogiemu pochodzeniu, szarzyźnie, biedzie, bylejakości tamtych czasów, kiedy większość Polaków miało poczucie „braku perspektyw”. Sadziła pomidory i ogórki, kwiaty. Postawiła jedną, potem drugą szklarnię, wstawiała podobno o 4:00 czy 5:00 w nocy, by jechać wozem na targ do Krotoszyna sprzedać wyhodowane warzywa, kupić sadzonki, zarobić trochę grosza, by potem inwestować, inwestować... A nade wszystko spowodować, by jej dzieci miały jak najlepiej, by nie czuły się gorsze z powodu braku ojca, by stać ją było na kupno wszystkiego co dla nich potrzebne. Podobno godzinami wystawała na zimnie w Święto Zmarłych by sprzedać wyhodowane kwiaty. To były lata 50. i wczesne 60. Działała, mimo trudów, niewyspania i zmęczenia była bardzo aktywna, energiczna, wciąż bardzo towarzyska, lubiana i gromadząca wokół siebie grono znajomych i przyjaciół. Wstąpiła do Spółdzielni Ogrodniczej, w której prowadziła aktywną działalność umiejscawiając się we władzach różnego szczebla aż do władz naczelnych w Komisji Kobiet, z centralą przy ul. Wareckiej w Warszawie (obok Domu Chłopa, gdzie często nocowała będąc w delegacjach). Wkrótce poszerzyła działalność gospodarczą dobudowując kolejne szklarnie. Kupowała też działki. Postawiła wymarzony piętrowy dom. Gdy była już dojrzałą ponad pięćdziesięcioletnią kobietą od losu dostała wreszcie prawdziwą miłość. Był to starszy od niej o dziesięć lat reemigrant, żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie - Klemens Kowalski (w którym podobno podkochiwała się jako podłotek, a o którym słuch zaginął przez długie powojenne lata, kiedy to on zamieszkał w Kanadzie). W wieku 54 lat wyszła za niego za mąż.

Przynajmniej od lat siedemdziesiątych zajmowała się opieką nad weteranami wojennymi z AK i ich rodzinami, również w ramach działalności Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, do którego należała i z którego wystąpiła będąc przyjęta do Światowego Związku Żołnierzy AK około roku 1991/92. W rodzinnych pamiątkach są pisemne opinie świadków ją rekomendujących i ilustrujące proces jej odejścia ze ZBOWiD do ŚZŻAK, które też pokazują jej polityczny pragmatyzm – mianowicie wypowiedzenie członkostwa w ZBOWiD złożyła dopiero po otrzymaniu członkostwa w ŚZŻAK. Jak widać wiedziała, do której grupy chce naprawdę należeć, gdy już taki wybór był możliwy po przemianach w Polsce, ale nie chciała podejmować ryzyka pozostania samotną, bez środowiska. Od

lat dziewięćdziesiątych Agnieszka Kowalska była więc aktywistką Światowego Związku Żołnierzy AK, dość często bywała w Warszawie na uroczystościach odbywanych przy pomniku w obszarze Cytadeli. Cały czas opiekowała się weteranami wojennymi i starszymi od niej AK-owcami.

Na koniec pięknie i akuratnie byłoby napisać, że Babcia Agnieszka była i jest dla mnie wzorem do naśladowania! Ale to nie jest tak. Nie tak to czuję. Po prostu często o niej myślę. I szczerze podziwiam. Nie mogę pojąć, jak ona to wszystko udźwignęła, jak silna musiała być fizycznie i psychicznie, żeby w tych niełatwych czasach stawiać szklarnie, rozszerzać gospodarstwo, aktywnie działać w różnych środowiskach, przemawiać na zebraniach, by potem znów od wczesnego świtu tak ciężko pracować na lepsze jutro. Codziennie stawiając też czoła samotności - bez mężczyzny, bez wsparcia męża, które przecież każdej kobiecie jest tak bardzo potrzebne. Realizując każdego dnia na nowo swoją wizję, koncepcję, cel i pomysł na życie – nie dać się (!) w oczach świata nie być „tą, co od niej facet odszedł”. Odnieść sukces. Przyszedł i finansowy sukces, z którego jej dzieci i wnuki też oczywiście skorzystały. I miłość. I pamięć. Wspaniale było Cię znać Babciu.. patrz na nas i bądź zawsze blisko, kiedy chcemy z Tobą „rozmawiać”..